

Mój warszawski Uniwersytet

Mój interesujący romans z Uniwersytetem Warszawskim trwał nieprzerwanie kilka lat, a z przerwami trwa do dziś. I dyplom mam z tej Uczelni, choć większość studiów odbyłam w innej.

W 1963 roku w Państwowym Zakładzie Higieny (tam wtedy kończyłam doktorat) zaczął bywać często tajemniczy Pan, którego nie znaliśmy; przychodził do Davida Shugara (kierownika pracowni biologii molekularnej) i odbywali długie narady. Zżerała nas ciekawość, kto zacz, i wykryliśmy, że gość, Jerzy Pniewski, jest Dyrektorem Instytutu Fizyki Doświadczalnej UW i że namawia Shugara do założenia Katedry Biofizyki.

Dziś każdy student fizyki i biologii wie o istnieniu nauki – biofizyki, ale to było 50 lat temu! Nie było takich studiów w Polsce. Mało kto umiałby zdefiniować, czym biofizyka mogłaby się zajmować. Mam uznanie dla Profesora Pniewskiego, że miał taką wizję, że znalazł tak właściwego realizatora i że ów (David Shugar) tego pionierskiego zadania się podjął.

Wraz z dwoma świeżo habilitowanymi współpracownikami (Lech Wierzchowski i Włodzimierz Szer) opracowali, dyskutując to w różnych środowiskach, program studiów. Trzeba było w pewnym sensie zawrócić z wyboru drogi czystej fizyki studentów, którzy chemii nie lubili, a biologię cicho lekceważyli (kwiatki, muchy, w najlepszym razie zupa z komórek). Trzeba było pokazać, jakie niesłychane horyzonty otwierają się przed tymi, którzy chcą procesy biologiczne opisać w kategoriach fizyki. Nawet kwantowej!

A poza zasadniczymi wyborami programowymi (Shugar zdecydował, że uczyć będą najwybitniejsi polscy uczeni z pogranicza nauk) Uniwersytet deklarował pomoc – zniszczony niewielki lokal „do przeróbek” oraz pewne fundusze na niezbędną aparaturę i niezbędne materiały. Ale tylko my wiedzieliśmy, co jest konieczne i niezbędne i nikt za nas zorganizować i zbudować tej Katedry nie mógł. Shugar wybrał kilkoro młodych ludzi, którzy zaczęli organizować warsztat dla studentów i dla siebie. Z lokalu na Banacha dopiero w tym roku biofizyka przeprowadza się do nowych pomieszczeń na Pasteura. Patrzę na nie z ulicy i zazdroszczę.

Miałam to szczęście, że byłam młoda i do nowej Katedry się kwalifikowałam. Malarze malowali, a my przygotowaliśmy pierwsze zajęcia dla studentów 4. roku, kupowaliśmy podstawową aparaturę, kolbki i probówki, pędziło się do central handlowych w momencie kiedy przychodziła wiadomość, że się „pojawiły” w magazynach (tak, tak, w tych czasach nie tylko mięso było luksusem, kolbki Erlenmayera też). Kolejni wykładowcy z „najwyższej półki” znaleźli się i jesienią 1967 roku Katedra ruszyła. I znów muszę zachwycić się sprawnością profesora Shugara i jego niewielkiego zespołu – myślę, że tak szybko to się udało, bo mieliśmy świadomość, że tworzymy coś zupełnie nowego, że trzeba to zrobić dobrze, bo na Hożej, czyli w IFD UW to najlepsi studenci zapisali się do nas na studia (bodaj 11 osób). Większość z nich to dziś profesorowie, niektórzy w Polsce, niektórzy za granicą.

Ci najmłodszy asystenci to była Ewa Kulikowska (razem przygotowaliśmy i prowadziliśmy laboratorium

studentki z biochemii) oraz świeżo po studiach z fizyki teoretycznej Maciek Geller (zmarł przed rokiem, do końca pracując w biofizyce) i Krzysztof Szyborski (obecnie w USA). Trochę później Barbara Czochońska z Wydziału Chemii założyła u nas bardzo udaną pracownię polarograficzną. Jeszcze później – bardzo wyczekiwani i potrzebni naukowo dwaj chemicy: profesorowie Zygmunt Kazimierzczuk (dziś SGGW) i Jarosław Kuśmierk (IBB PAN). I tak się to toczyło i rozwijało.

Pracowałam w Katedrze 10 lat, w tym czasie zrobiłam habilitację, poprowadziłam kilka prac magisterskich, odbyłam staż w USA, urodziłam drugie dziecko – córkę! Przeżyliśmy też w Katedrze rok studenckiego buntu – 1968, za który zapłacili uwięzieniem nasi dwaj teoretycy, a trzeci rok studiów na fizyce został w całości zawieszony za postawy antypaństwowe. Z tej grupy ciepło wspominam Włodka Puzynę, po studiach zatrudnionego jako biofizyk w Szczecinie, od którego na dworcu, wyjeżdżając ze Zjazdu Biochemików, pewno w 1983 roku, dostałam rulon z plakatami Solidarności.

Zdawałam kolokwium habilitacyjne w Instytucie Biochemii i Biofizyki PAN i w ramach plotek ktoś mi powtórzył, że na posiedzeniu zamkniętym jedna Pani Profesor z Rady Naukowej powiedziała: ta ma talent dydaktyczny, powinna wyklądać na uniwersytecie. Pani Profesor nie wiedziała, że właśnie rozpoczynałam nowy etap życia – pracę w Instytucie PAN-owskim, w którym się studentom nie wykląda. Ale ponieważ sama wiedziałam, że wyklądać lubię, to wielokrotnie prowadziłam jeszcze wykłady zleczone na Wydziale Biologii UW i – w ramach dla mnie świetnego dydaktycznego doświadczenia – w MISH Profesora Axera. Lubiliśmy się wzajemnie ze studentami, bo byliśmy z różnych, a ciekawych światów. Czasem, z rzadka, coś jeszcze i dziś powiem na konferencjach Artes Liberales. A przez 15 lat, razem ze wspomnianym biofizykiem Maćkiem Gellerem, budowaliśmy i organizowaliśmy w Warszawie pierwszy w Polsce Festiwal Nauki blisko związany z Uniwersytetem Warszawskim.

Takich romansów w życiu się nie zapomina.

Magdalena FIKUS